

Temat
dnia

Przemysław Wielgosz

Opium globalizacji

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

DIALOG



Przemysław Wielgosz

Opium globalizacji

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
Wydawnictwo Akademickie

DIALOG



Redakcja i korekta: Łada Jurasz-Dudzik

Projekt okładki: Kinga Walter

ISBN (ePub) 978-83-8002-508-0

ISBN (Mobi) 978-83-8002-509-7

Wydawnictwo Akademickie „DIALOG”, Anna Parzymies Sp. z o.o.

00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks: 22 620 87 03

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

<http://www.wydawnictwodialog.pl>

Wydanie elektroniczne, Warszawa 2016

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Spis treści

O autorze

Podziękowania

Wstęp

Historia się nie skończyła

Opium globalizacji

Fast food dla wszystkich

Zauroczeni krytycy

Przeznaczenie kapitalizmu

Rozdział I

11 września czyli terroryzm w służbie globalizacji

Czarna księga kapitalizmu

Czas Patriotów czyli militarystyczne interludium globalizacji

Genua czyli prawdziwy początek wojny z terrorem

Straszak terroryzmu i neoliberalny beton

Rozdział II

Od wojny idei do oszałamiającej statystyki

Jak się zdobywa hegemonię?

Postmodernistyczny hipermarket

Giełdowe raje zysków

Korporacje, Nowa Gospodarka i synergie

Pogoda dla bogaczy

Paradoksy globalnej koniunktury

Rozdział III

Finansowanie ekspansji

Od Złotego Wieku do kryzysu strukturalnego

Neoliberalne koła ratunkowe

Klasa robotnicza idzie na zasiłek
Strategie wyzysku
Pętla zadłużenia czyli skarbonka bez dna
Konsekwencje koniunktury
Kryzys pierwszego świata
Powrót maltuzjanizmu

Rozdział IV

Fałszywy uniwersalizm
WTO albo wojny opiumowe reaktywacja
Misja cywilizacyjna 150 lat później
Nowy imperializm
Wariant środkowoeuropejski

Rozdział V

Długa historia globalizacji
Mit **Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna** wyjątkowości
Globalizacja XIX wieku
Ekonomia polityczna *fin de siècle'u*
Oblicza imperializmu

Rozdział VI

Jesień hegemonia
Kapitalizm jako świat
Długie ostatnie stadium
Globalizacja i cykl hegemoniczny
Fale globalnej jesieni
Hegemonia w opałach
W stronę epoki przejściowej

Rozdział VII

Konstelacje oporu

Z genealogii alterglobalizmu

Nowy ruch i kres ponowoczesności

Wyjść z prehistorii

Rozmowy o globalizacji

Globalna prowincja – rozmowa z Arkadiuszem Zajączkowskim

Globalna alternatywa – rozmowa z Rafałem Górskim

Globalizacja, wojna, imperializm – rozmowa z Filipem Ilkowskim

Europejska chemioterapia – rozmowa z Piotrem Ikonowiczem

Przypisy

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

O autorze

Przemysław Wielgosz - publicysta i dziennikarz zajmujący się problematyką społeczną i kulturalną. Redaktor półrocznika polityczno-artystycznego „Lewą nogą”, związkowego „Nowego Tygodnika Popularnego” oraz witryny internetowej „Teza jedenasta”. Stale współpracuje z „Aneksem” – dodatkiem kulturalnym „Trybuny” i miesięcznikiem „Nowe Książki”. Współautor antologii „W poszukiwaniu innych światów. Europa, lewica, socjaldemokracja wobec zmian globalnych” (red. Piotr Żuk, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2003). Członek rady redakcyjnej półrocznika „Rewolucja”. Interesuje się analizą mechanizmów kapitalistycznej akumulacji w skali globalnej oraz ideologiami współczesności.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Podziękowania

Autor pragnie podziękować Katarzynie Drożdż oraz Zbigniewowi M. Kowalewskiemu za pomoc w przygotowaniu tej książki.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wstęp

Historia się nie skończyła

Jest rok 1999. W Seattle rozpoczynają się obrady kolejnej rundy rokowań w ramach Światowej Organizacji Handlu (WTO). Przybyli wielcy tego świata, politycy, przedstawiciele biznesu, jedynie słuszni eksperci ekonomiczni spod znaku neoliberalnej restauracji, wreszcie media i etatowe autorytety intelektualne. Spotykają się, by celebrować kolejny milowy krok w ustanawianiu ogólnoswiatowego panowania wolnego rynku. Czyż można się zatem dziwić, że rokowania ochrzczono „skromnym” mianem Rundy Tysiąclecia? Jej efektem miał być prawdziwy skok w nową epokę, której emblematem stało się modne od paru lat słowo „globalizacja”. Wraz z jej urzeczywistnieniem dokonać się miał koniec dziejów, zaplanowany dekadę wcześniej przez urzędowego myśliciela Białego Domu – Francisca Fukuyamę. Oznaczało to zaś, ni mniej ni więcej, tylko osiągnięcie przez ludzką optymalnej formy organizacji społecznej i gospodarczej. Zglobalizowany świat miał być nie tylko rynkowy i demokratyczny, ale także wolny od wszystkich plag dotychczasowej historii. Odrzuciwszy niebezpieczne utopie, bunty i aspiracje klas podporządkowanych, obywatele zglobalizowanej wioski mieli oddać się przyjemnościom niezakłóconej konsumpcji i masowej rozrywki.

Tym razem jednak uśmiercona przez Fukuyamę i jego następców historia pokrzyżowała plany WTO. Powróciła na scenę w formie wielotysięcznej manifestacji sprzeciwu. Oto ci, którzy wedle miarodajnych rachunków ekonomistów i politologów winni tkwić przed telewizorami, a w najgorszym razie w kolejkach do kas hipermarketów, ośmielili się powiedzieć „nie” rajskiej rzeczywistości, jaką w pocie czoła wypracowywali dla nich uczestnicy obrad WTO. Tym, co rzuciło się od razu w oczy bystrzejszym obserwatorom, była oszałamiająca wręcz różnorodność demonstrujących tłumów. Na ulicach Seattle zebrali się reprezentanci wszystkich niemal nurtów oporu przeciw panującej zasadzie rzeczywistości. Kogóż tam nie było? Związkowcy i studenci, feministki i obrońcy kultur lokalnych, radykalna lewica i ekologowie, bezrobotni i kontrkulturowcy, obrońcy praw człowieka i pacyfiści,

solidarni z Trzecim Światem i amerykańscy farmerzy. Jednym, a do tego powszechnie zrozumiałym głosem przemówiły rozproszone dotąd **dyskursy** krytyczne. Było to o tyle zaskakujące, że od przynajmniej dziesięciu lat wydawały się one rozbrojone. Triumfujący kapitalizm zepchnął je do akademickich bądź subkulturowych nisz. To samo można powiedzieć o czołowych dysydentach, którzy stanęli na czele masowych protestów. Media głównego nurtu zapomniały już, że taka kategoria ludzi istnieje. Jeśli nawet ich dostrzegano, to uważano, że zasługują co najwyżej na miano wyalienowanych intelektualnych frustratów, nie rozumiejących ducha nowych czasów bądź oderwanych od rzeczywistości poszukiwaczy rządowego spisku. W tym kontekście można sobie wyobrazić, jaki szok wywołały tłumy wykrzykujące hasła, wzięte wprost z tekstów Noama Chomsky'ego, Gora Vidala czy Williama Bluma.

W ten jakże efektowny sposób na scenę historyczną wkroczył nowy podmiot. Stało się to przy wtórze policyjnych syren i rozrywających się granatów gazowych – albowiem przerażone rozmiarami protestu władze lokalne i federalne ogłosiły w Seattle stan wyjątkowy i wsparły policję oddziałami Gwardii Narodowej, wyposażonymi w pojazdy opancerzone. Najbardziej wstrząsające dla przyzwyczajonych do łatwych sukcesów neoliberalizmu mediów było jednak to, że owym niewdzięcznym tłumom udało się niemal dosłownie rozpedzić szanowne gremium i zerwać kolejną rundę rokowań WTO. Uważni obserwatorzy nie byli już jednak tak bardzo zaskoczeni. Wszak dwa lata wcześniej, w roku 1997 podobne wydarzenia miały miejsce w nieco mniej efektownych dekoracjach. Grupy internetowych krytyków, wśród których wyróżniała się organizacja ukrywająca się pod kryptonimem Public Citizens Global Watch, dotarły do tajnych dokumentów MAI – czyli Wielostronnego Porozumienia o Wolności Inwestycji (Multilateral Agreement on Investment) i opublikowały je w sieci. Akcja ta doprowadziła do prawdziwego trzęsienia ziemi po obu stronach Atlantyku. Po pierwsze: postawiła pod znakiem zapytania wartość tak celebrowanej przez rządzące elity demokracji. Wyciągnięcie na światło dzienne tajnych rokowań, których celem było narzucenie rozwiązań, mogących zasadniczo wpłynąć na życie obywateli dziesiątków krajów, pokazało, że pojęcie społecznej kontroli we współczesnych demokracjach parlamentarnych stało się wydrażoną z jakichkolwiek

treści formą. Po drugie: działania grupy Public Citizens Global Watch i całego mnóstwa podobnych organizacji wywołały poważną debatę nad linią polityczno-gospodarczą, która dotychczas pozostawała poza horyzontem zasadniczych wątpliwości. Neoliberalizm, który od czasów prezydenta Ronalda Reagana i premier Margaret Thatcher stał się ideologicznym wyznaniem wiary całego kapitalistycznego establishmentu – niezależnie, czy reprezentował on prawicę, czy lewicę – stracił nagle nimb objawionej prawdy, której nie trzeba żadnych uzasadnień ani racji, bo sama stanowi ostateczną rację wszelkich działań przez ów establishment podejmowanych. Utrącając inicjatywę Wielostronnego Porozumienia o Wolności Inwestycji w samym zarodku, nie tylko rzucono wyzwanie świętym zasadom wolnego rynku, ale przede wszystkim objawiono ich zupełnie nieświętą genezę i takież charakter. Nie skończyło się jednak na dwóch incydentach. Wszyscy, którzy mieli nadzieję, że w kwestii MAI i obrad WTO w Seattle doszło jedynie do jakiegoś społecznego krótkiego spięcia, do jakiejś lokalnej czkawki po roku 1968, stracili ją, gdy przez świat zaczęła się przewalać fala protestu. Po Seattle elity globalnego kapitalizmu musiały coraz częściej rozstawać się z dobrym samopoczuciem. Psuto im je wszędzie tam, gdzie odbywały się zjazdy światowych decydentów. W Waszyngtonie, Nicei, Davos, Pradze, Göteborgu, Genui, Cancun...

Cóż się takiego stało? Dlaczego w dziesięć lat po pokonaniu swego systemowego rywala, zwanego blokiem wschodnim, światowy kapitalizm stał się celem tak niewybrednych ataków i to w dodatku ze strony tych, dla których dobra rządzące elity przeprowadzały wszystkie restrukturyzacje i deregulacje, o których wciąż trąbią serwisy informacyjne? Czy był to tylko szum sztucznie podsycany przez żądne nowych tematów media, czy też globalny porządek rzeczywiście znalazł się na zakręcie?

Opium globalizacji

Polskie życie publiczne nie cierpi z powodu nadmiaru inteligencji. Jeżeli nawet są od tej reguły wyjątki, to z pewnością próżno by szukać ich wśród polityków i dziennikarzy. Trwająca od jakiegoś czasu debata o globalizacji w swym nadwiślańskim wydaniu daje wystarczająco dużo dowodów, aby oczyścić obydwie te grupy od

zarzutu przeintelektualizowania. Prawdę powiedziawszy, obraz globalizacji, jaki wylania się z enuncjacji demokratycznie wybranych reprezentantów narodu oraz relacji tzw. wolnych mediów, sugeruje coś wręcz odwrotnego.

Pojęcie to pojawiło się mniej więcej pięć lat temu, za sprawą wspomnianych manifestacji w Seattle. Niemal natychmiast nowe hasło stało się przebojem używanym bez umiaru w wielkonakładowej prasie. W spragnionych nowych słów-gadżetów mediach globalizacja zastąpiła mocno już zużyte i skompromitowane kategorie w rodzaju postmodernizmu czy końca historii. Także i sposób, w jaki słowo to funkcjonuje w dyskursie publicznym, nie różni się specjalnie od przejawów kulturowych mód, podlegających banalizującej logice przemysłu pop. Gdyby wsłuchać się w głos prominentnych uczestników polityczno-kulturalnej sceny III Rzeczypospolitej, należałoby potraktować globalizację jako coś w rodzaju dopustu, czy też – jak kto woli – daru bożego. Jak wszystko, co boskie, zjawiała się nagle, spadając na nasz padół z niebiańskich wysokości. Tak jak inne pojęcia z firmamentu poprawnej politycznie publicystyki – globalizacja jest bytem idealnym. Podobnie jak wolny rynek czy prywatyzacja pretenduje do samooczywistości i niczym słowo-klucz otwierać ma bramy do absolutnej prawdy o świecie. Nie trzeba jej usprawiedliwień, genezy ani – broń boże! – jakichkolwiek ocen.

Dla większości lokalnych autorytetów i ekspertów globalizacja jest po prostu tym samym, co postęp technologiczny. W wydaniu polityków wiara ta objawia się cokolwiek karykaturalnie. Dla nich globalizacja to po prostu telefony komórkowe, telewizja satelitarna, postępująca komputeryzacja, turystyka międzynarodowa i rozwój sieci internetu. Tak właśnie przedstawiają problem liderzy największych ugrupowań parlamentarnych. Co ciekawe, celują w tym działacze oficjalnej lewicy, którzy najwyraźniej uważają, że proglobalizacyjny entuzjazm może być kolejnym dobrym sposobem, uwiarygodnienia na liberalnych salonach warszawki. Po antyglobalizacyjnych demonstracjach w Genui słynący z patetycznych oświadczeń premier Cimoszewicz poczuł się w obowiązku pryncypialnie potępić w telewizyjnym studiu przemoc protestujących (sic!), oświecając przy okazji zgromadzoną przed odbiornikami publiczność, co do korzyści, jakie spływają na nią za sprawą komputeryzacji i rozwoju technologii telekomunikacyjnych. Nie

wymagajmy jednak zbyt wiele od polityków, skoro tzw. intelektualiści wpadli na pomysł utożsamienia globalizacji li tylko z zalewem hollywoodzkiej popkultury, zaś całkiem niedawno pewien osobnik, podający się za eksperta ekonomicznego, z całą powagą stwierdził, że jest ona tak samo nieuchronna jak codzienne wschody i zachody słońca.

Przekonanie o tożsamości telewizji satelitarnej i globalizacji ma dokładnie taką samą wartość, jak stwierdzenie, iż kolonializm to samo, co sklepy kolonialne, zaś faszyzm to tylko volkswageny. Z pewnością na tym gruncie nie da się ani opisać, ani zrozumieć procesów ekonomicznych, które naprawdę ukrywają się pod chwytliwym mianem globalizacji. Podejście to, choć ignoranckie, fałszywe i bezdennie głupie, ma wszelako jedną poważną zaletę, która sprawia, że nasz establishment jest do niego tak przywiązany i zapewne także w przyszłości będzie się go kurczowo trzymał. Rozbraja ono mianowicie wszelką racjonalną krytykę. Redukcja globalizacji do nieuchronnych procesów cywilizacyjnych pozwala zdyskredytować jej przeciwników o wiele skuteczniej niż za pomocą policyjnej przemocy, po którą skądinąd w walce z nimi bardzo chętnie się sięga. Czyż bowiem ktoś o zdrowych zmysłach przeciwstawiałby się postępowi? Czy można zgodzić się z przeciwnikami rozwoju technologicznego? Czyż można wreszcie brać poważnie antyglobalizm ludzi, którzy sami korzystają z dobrodziejstw globalizacji? W szczerym przekonaniu polskich publicystów antyglobaliści i alterglobaliści to w najlepszym razie ludzie niepoważni, chcący zawracać kijem bieg rzeki historii albo, co gorsza, odebrać zdrowej większości narodu rozkosze korzystania z usług telefonii komórkowej i stołowania się u McDonald'sa.

Korzyści płynące z rozpowszechniania globalizacyjnej religii są zatem niebagatelne. Niczym klasyczne opium dla ludu pozwala ona dobrze ukryć rzeczywiste interesy rzeczywistych klas, stojące za rzekomą koniecznością dziejową. Zapewne beneficjanci globalnego systemu liczą, że po latach rozmiękczenia zachodniego rozumu roztworami z różnych postmodernizmów, new age'ów i reewangelizacji może się ona stać niezłą strategią propagandową. Problem w tym, że nawet w szczególnie podatnej na podobne manipulacje nadwiślańskiej ojczyźnie papieża Wojtyły jest coraz mniej ludzi, którzy wierzą, iż grożące im piekło bezrobocia, nędzy

i przemocy to konieczne koszty postępu na drodze do zglobalizowanego raju.

* * *

Globalizacyjna mitologia rozwija się jednak nie tylko w mediach. Gdyby ograniczała się do nich, można by ją było zaliczyć do jednej z wielu pseudointelektualnych mód, lansowanych przez przemysł rozrywkowy. Tymczasem w latach 90. minionego wieku wyrosła ona na bodaj najważniejszą ideologię współczesnego kapitalizmu. Oczywiście także w jej wyrafinowanej wersji spotykamy to samo przesłanie, które artykułują politycy i masowe media. Niemniej teoretyczna, a nierzadko nawet krytyczna fasada, w jakiej globalizacja funkcjonuje w dyskursie współczesnych nauk społecznych, sprawia, że warto potraktować ją odrębnie. Wśród poważnych analityków dominują z grubsza biorąc dwa ujęcia. Pierwsze i bardziej popularne sprowadza się do przekonania o tożsamości globalizacji i uniwersalizmu oraz narzuca perspektywę, którą trzeba nazwać kulturalistyczną. Drugie podejście koncentruje się na analizie mechanizmów (np. Dąbaj (c) Copyright wstępując do problematykę globalizacyjną w obrębie dyskursu akademickiej ekonomii.

Afirmatywny charakter tych koncepcji nie polega na bezkrytycznym przekonaniu o zbawiennym wpływie globalizacyjnych procesów na życie ludzkości, ale na przyjęciu milczącego założenia, że ich społeczna treść w rzeczywistości odpowiada pojęciowemu określeniu.

Fast food dla wszystkich

Założenie takie łączy na przykład ujęcia dwóch tak różnych, a zarazem chcących uchodzić za krytycznych intelektualistów, jak Benjamin Barber i Zygmunt Bauman.

Dżihad kontra *Mcświat* Barbera i *Globalizacja* Baumana¹ niezależnie od swego krytycznego charakteru zawierają cały asortyment globalizacyjnych mitów. Obaj autorzy eksponują znaczenie wspomnianego już skoku technologicznego. Obaj też skłaniają się w stronę kulturalizmu. Rzecz jasna, nie ignorują całkowicie ekonomicznego aspektu zachodzących na świecie procesów. Przeciwnie – podkreślają znaczenie tego, co

znany ekonomista ze Stanfordu Paul Krugman nazywa pogodzeniem się rządów „z systemem, który pozwala rynkowi na uzyskanie hegemonii”². Świadomość ekonomicznego wymiaru globalizacji nie zmienia jednak teoretycznych założeń proponowanej przez nich perspektywy. Zgodnie z nimi i autorzy ci kładą nacisk na kulturowy wymiar analizowanych zjawisk, a ponadto w sferze szeroko rozumianej kultury poszukują najważniejszych przestanków i genezy globalizacyjnej fali.

W wypowiedziach Barbera i Baumana znajdziemy zatem refleksję nad postępującą gwałtownie uniwersalizacją kulturową. Globalizacja oznacza tu przede wszystkim rozkwit i upowszechnienie rzekomo najbardziej demokratycznej amerykańskiej kultury masowej. Ekspansja Hollywood, Disneya, MTV i Ruperta Murdocha skutecznie wdziera się ze swą produkcją w ikonosfery kultur lokalnych i podporządkowuje je jednemu i odtąd jedynie dopuszczalnemu językowi symbolicznemu. Na poziomie życia codziennego odpowiada temu kariera skrajnie konsumpcyjnych wzorców egzystencji. Odbywa się tu proces, który amerykański socjolog George Ritzer dobitnie nazwał macdonaldyzacją społeczeństwa. Oznacza ona nie tylko rozwój fast foodów, które niszczą tradycyjne smaki i tradycyjną kulturę jedzenia, zastępując ją taśmowym pochłanianiem kulinarnych erzaców. Fast food stał się symbolem i modelem całego życia konsumentów. Ci ostatni z kolei wypierają dawnych obywateli, a wraz z nimi zmacdonaldyzowane społeczeństwo wyzbywa się sporów, debat, wspólnych przedsięwzięć, solidarności klas podporządkowanych, wymiany myśli – czyli wszystkiego tego, co wypełniało przestrzeń publiczną mieszczańskiej demokracji. Zindywidualizowany, odspołeczniiony konsument nie potrzebuje już nawet tradycyjnych przestrzeni miejskich z parkami, ławkami, chodnikami, ogródkami kawiarnianymi. U siebie czuje się za to w gigantycznych centrach handlowych i parkach tematycznych z ich piętrowymi parkingami, zadaszonymi alejami, zapachem popcornu i górami towarów z promocji. Zamiast tracić czas na dokonywanie wyborów między prawicą a lewicą, korzysta ze szczęsnego daru wolności, decydując się na zakupy raczej w sklepie sieci Wal-Mart niż Auchan, gdzie wrzuca do koszyka taki a nie inny z dostępnych na supermarketowych półkach stylów życia.

Przerobienie całego świata w jeden wielki hipermarket oraz opór śmiertelnie zagrożonych tym procesem kultur lokalnych mają wyznaczać ramy globalizacyjnej dialektyki. Z jednej strony wygenerowany przez kulturowy przemysł Mcświat, z drugiej zachowawczy, przywiązany do lokalności i marzący o kulturowej autarkii džihad – to z grubsza biorąc dwie strony globalnej barykady. Niezależnie od dramatycznego przebiegu starcia tych dwóch sił wynik konfrontacji jest z góry przesądzony. Nie da się zatrzymać biegu historii, nawet jeśli jej rozpędzony walec miałby zgnieść rzeczy naprawdę wartościowe. Nie pomogą tu żadne utyskiwania nad niepowtarzalnością dziedzictwa kulturowego poszczególnych narodów czy grup etnicznych. Wszak to także przedstawiciele owych wspólnot przedkładają coca-colę, rap i filmy ze Schwarzeneggerem nad ich lokalnych konkurentów. Natura ludzka, a właściwie jej słabości okazują się zatem najlepszym sojusznikiem globalizacji. Najzagorzalsi jej rzecznicy w rodzaju słynnego felietonisty „New York Times’a” Thomasa Friedmana przekonują, że przy wszystkich pojawiających się przy okazji problemach ta gra warta jest świeczki. Wprawdzie macdonaldyzacja świata odbywa się na zasadzie, zgodnie, z którą gorszy pieniądz wypiera lepszy, ale wszystko wskazuje na to, że taka jest cena, jaką trzeba zapłacić na drodze do urzeczywistnienia nowej postaci uniwersalności.³

Bo przecież obok triumfu kultury masowej globalizacja to także kurs na zniesienie granic, a zatem obalenie barier między narodami i gospodarkami. Niczym w znanej przepowiedni Marshalla McLuhana proces ten przyniesie powstanie jednej globalnej wioski, w ramach której zapanuje praworządność, a nacjonalizm i nierówności ekonomiczne nieodwołalnie przejdą do historii. Uniwersalizacja polityczna będzie naturalnym dopełnieniem przewyciężeniem ostatnich archaicznych barier celnych, jakie jeszcze tu i ówdzie blokują rozwój wolnego rynku. Niewidzialna ręka zadba o sprawiedliwe, czyli promujące przedsiębiorczych alokowanie zasobów. Emancypacyjna moc mechanizmów rynkowych zabezpieczy społeczeństwa przed zachłannością fiskusa i wszelkimi pokusami etatyzmu. Organiczny związek rynku i demokracji sprawi, że globalizacja stanie się najlepszym sposobem na upowszechnienie wysokich standardów praw człowieka, które dotychczas poświęcano na ołtarzu suwerenności narodowego państwa. Odesłanie tego ostatniego do lamusa historii

doprowadzi w konsekwencji do ustanowienia trwałego pokoju w skali światowej oraz ograniczenia przestępczości i przemocy w poszczególnych krajach.

Zauroczeni krytycy

Z innym wydaniem tej samej wiary w przemożne skutki globalizacji mamy do czynienia w dyskursie ekonomistycznym. Trzeba mu oddać sprawiedliwość – jest on bowiem nieporównanie bliższy rzeczywistości i bardziej szczery od swego kulturalistycznego konkurenta. Rozwijają go przecież gremia w rodzaju tych, które zebrało się w San Francisco w hotelu Fairmont we wrześniu 1995 roku. Na zaproszenie Michaiła Gorbaczowa przybyło wówczas 500 osób z Margaret Thatcher, George’em Bushem starszym, George’em Schultzem, Tedem Turnerem, Davidem Packardem, Jeremym Rifkinem i Zbigniewem Brzezińskim na czele. Szacowne towarzystwo obradowało kilka dni, aby na koniec oznajmić światu, że przyszłością kapitalizmu jest stworzenie społeczeństwa wedle formuły 80/20. Oznacza to, że w niedługim czasie gospodarka będzie potrzebowała tylko 20% populacji zdolnych do pracy, aby działać sprawnie. Reszta, tzn. 80%, skazana jest na bezrobocie. Prognoza ta zaprezentowana została niemalże w formie dobrej nowiny. Dla tych, którzy nie będą mogli wsiąść do rozpędzonego pociągu dla uprzywilejowanych dzięki posiadaniu stałego zajęcia, przewidziano wszak danie składające się z „mieszanki z odurzającej rozrywki i wystarczającej ilości pożywienia”, pozwalające „jakoby sfrustrowaną ludzkość utrzymać w ryzach”⁴. Pozostałe elementy tej układanki miały być jeszcze bardziej ponętne.

Mieszanka krytyki, autentycznego przerażenia i równie szczerego podziwu dla potęgi uwolnionego z państwowych pęt rynku stanowi główne przesłanie, dające się odczytać z ekonomistycznych analiz wypełniających prace Georga Sorosa, Jeffrey’ a Sachsa czy Johna Graya. Autorzy, którzy jeszcze kilka lat temu byli głównymi rzecznikami najostrzejszego kursu na prywatyzację, restrukturyzację i globalizację, dzisiaj radykalnie zmienili ton. Wszelako prezentowany przez nich krytycyzm wpisuje się znakomicie w to, co Karol Marks nazywał ideologią ekonomii politycznej⁵.

Wydaje się nawet, że mamy tu do czynienia z jej klasycznym wydaniem. W analizie globalizacji, zupełnie jak w czasach autora *Kapitału*, fetyszyzuje się abstrakcyjne, oderwane od konkretnej rzeczywistości kategorie ekonomiczne, obdarzając je samodzielną egzystencją, cechami i właściwą im dynamiką rozwojową – czyni się przy tym wrażenie, jakby istniały poza swą społeczną treścią. Nawet jeśli czysto ekonomicznej analizie towarzyszy opis społecznych konsekwencji rozwoju różnych trendów w gospodarce, nie zostaje on włączony, ale ledwie *dołączony* do głównego nurtu analizy. Stanowi raczej efektowny ornament niż treść ekonomistycznych wywodów. Zakładana z góry autonomia rynku, cyrkulacji walorów finansowych i w ogóle gospodarki oraz opisujących ją kategorii ekonomicznych stanowi sedno tego ekonomizmu. Decyduje ona o tym, że pozornie krytyczne wypowiedzi w rzeczywistości spełniają funkcję afirmatywną. Dzieje się tak nawet wówczas, gdy Soros pisze, że wolnorynkowy fundamentalizm groźniejszy jest od komunizmu.

Zarzut ten można postawić obfitej literaturze, której autorzy chcą uchodzić – i często im się to udaje – za bezlitosnych krytyków aktualnej postaci kapitalizmu. Sztandarowym przykładem jest tu wspomniany już George Soros, którego prace znane są także w naszym kraju. Oddzielając globalizacyjną formę od ludzkiej treści, autorzy tacy jak amerykańsko-węgierski magnat finansowy, ukazują procesy zachodzące w dzisiejszej gospodarce jako coś nie tylko zupełnie autonomicznego względem interesów i interwencji państwa oraz klas rządzących, ale i zupełnie nowego (przynajmniej na taką skalę) w dotychczasowej historii gospodarczej. Oczywiście globalizacja im się nie podoba. Jej grzechem jest jednak tylko to, że destabilizuje rynki, zaostrza konkurencję, obala dotychczasowe reguły biznesu, a zatem stanowi zagrożenie dla wszelkich prognoz dotyczących ewentualnych zysków przedsiębiorstw. Co więcej: ograniczając możliwości ustabilizowania sytuacji, podrywa fundamenty działania wielkich korporacji, których ekspansję umożliwiła wcześniej.

- ¹ Zygmunt Bauman, *Globalizacja*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2000; Benjamin R. Barber, *Dżihad kontra Mcświat*, Muza S.A., Warszawa 1997.
- ² cyt. za: Benjamin R. Barber, dz. cyt s. 308.
- ³ Thomas Friedman, *Lexus i drzewo oliwne*, Rebis, Poznań 2001
- ⁴ Hans-Peter Martin, Harald Schumann, *Pułapka globalizacji*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000, s. 8-9.
- ⁵ Zob. George Soros, *Kryzys światowego kapitalizmu*, Muza S.A., Warszawa 1999; John Gray, *Po liberalizmie*, Aletheia, Warszawa 2001; Jeffrey Sachs, *Schorzenia globalizacji*, „Rzeczpospolita” 2002.30.11.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel. (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

Biuro handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks (0 22) 620 87 03

e-mail: biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl

www.wydawnictwodialog.pl

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna